



Napisał: Andrzej Stoff

Ilustrował: Rajmund Gawkowski

Wyprostował się w fotelu usiłując wypędzić z ciała resztę napięcia towarzyszącego ostatnim manewrom i znużenie podróżą. Nogi wyciągnął jak najdalej przed siebie, ręce podniósł ponad głowę i splótł dłonie, aż chrupnęło w stawach. Uśmiechnął się zadowolony do pilotów i techników na sąsiednich stanowiskach: Podróż skończona! Pomyślał, że dwa wolne dni to zbyt mało na dobry odpoczynek i załatwienie wszystkich spraw. Obserwując na monitorze przybycie załogi orbitalnej, która przejmowała statek na czas wymiany ładunku, opuścił ramiona, a później przyjął w fotelu pozycję, jaka przystoi dowódcy transportowca kosmicznego pierwszej klasy, jakim był FSS „Michelson”.

Jeszcze tylko zwykle, zrutynizowane czynności przekazania statku na czas pobytu na orbicie okołoziemskiej. Z przyzwyczajenia obserwował kierownika zmiany, gdy ten sprawdzał poszczególne układy wywołując dane z centralnego komputera, ale myślami był już na Ziemi. Podniósł się z fotela. Oficjalna formułka:

– Wszystkie układy sprawdzone, przejmuję statek.

Później mniej oficjalny uścisk dłoni, zdawkowa odpowiedź na pytanie o przebieg podróży, życzenie przyjemnego pobytu na Ziemi. Podpisali się obaj w dzienniku pokładowym i od tej chwili był wolny.

Część załogi nie zatrudniona przy ostatnich czynnościach orbitalnych odleciała już na Ziemię wraz z pasażerami. W tunelu międzypokładowym spotkał już tylko głównego energetyka i lekarza, którzy czekali na niego. Musiał ich jednak przeprosić i wrócił do kabiny po zapomniane dokumenty. Czerwoną kopertę schował do wewnętrznej kieszeni bluzy mundurowej i razem poszli w kierunku promu, który przywiózł załogę orbitalną, a ich miał zabrać na Ziemię. Podczas przejścia trzeba było uważać, gdyż prom ten – nie przeznaczony dla pasażerów – pozbawiony był wielu udogodnień i poza służą transportowca ustawało działanie pola sztucznej grawitacji i lekceważąc ten fakt można było narazić się na nieprzyjemne konsekwencje. Czekali jeszcze kilka minut, ale nie zgłosił się nikt więcej.

– No, jazda. Na co czekamy? – niecierpliwził się lekarz. Podniósł się z fotela i zastukał w szybę dzielącą ich od kabiny pilota. Ten odpowiedział mu uspokajającym ruchem ręki. I rzeczywiście, po kilkunastu sekundach promem zakołysało i w iluminatorze zobaczyli odsuwający się czarny owal wlotu z pulsującym światłem sygnalizacyjnym.

Lekarz pochylił się ku dowódcy z zagadkowym uśmiechem:

– No co, stary, to pewnie nasz ostatni wspólny lot. Wypadałoby to oblać, bo później już się nie zobaczymy.



– Dlaczego ostatni? – zachnął się zapytany, ale w ułamku sekundy zreflektował się i uśmiechnął cierpko: – Ale skąd właściwie o tym wiecie?

– Wszyscy wiedzą. Otrzymania takiej propozycji nie da się ukryć przed załogą. W pewien sposób jesteśmy nawet dumni, że proponowano to naszemu dowódcy.

– Tak?!

– Będzie nam przykro rozstać się po tylu wspólnych lotach, ale rozumiem ciebie. Ja też bym się nie wahał ani chwili. Tylko, że ja mam już rodzinę...

Główny energetyk pokiwał głową:

– To już jest coś. Nie to, co nasze wieczne kołatanie Ziemia–Mars, Mars–Wenus, Wenus – Ziemia. Zupełnie inna skala, zupełnie inne problemy. Ale mnie już nie wezmą. Jestem za stary, a i wykształcenia odpowiedniego nie mam, bo technika napędów kosmicznych w ostatnich latach rozwinęła się niesłychanie...

Przyzwyczajeni w swej praktyce astronautycznej do znacznie większych przeciążeń, nie zwrócili nawet uwagi na rozpoczęcie hamowania, ożywili się dopiero, gdy szarozielone smugi w iluminatorach ukazały widok kosmodromu.

– Nie jest tak źle, skoro dogoniliśmy pasażerów – zauważył lekarz, wskazując sąsiedni sektor lądowiska, na którym ze znacznie większego promu wysypywał się w kierunku oczekujących elektrokarów spory tłum.

– Z nimi trzeba ostrożnie. Pasażer nasz pan! – Pilot promu włączył się do ich rozmowy przez interkom, uśmiechając się równocześnie porozumiewawczo przez szybę.

Luk otworzył się i po automatycznie opuszczonym trapie zeszli do czekającego na nich służbowego wozu, który zabrał ich z płyty lądowiska do kompleksu budynków dworca. Kiedy wynurzyli się z ostatniego tunelu, kierowca zapytał, gdzie ich podwieźć.

Lekarz chciał jak najszybciej znaleźć się w hotelu, gdzie od wczoraj czekała na niego żona i dzieci. Podczas pożegnania główny energetyk wtrącił żartobliwie, znając słabe miejsce kolegi, że jeżeli ktoś tak lubi życie rodzinne, to powinien albo zabierać rodzinę na każdy lot, albo w ogóle nie latać, tylko siedzieć

w domu, a przynajmniej załatwić sobie mieszkanie w najbliższej okolicy kosmodromu, żeby nie zmuszać żony i dzieci do męczących podróży i tułania się po hotelach za każdym przelotem koło Ziemi. Lekarz, przyzwyczajony do docinków, spokojnie wysiadł i dopiero wówczas, nim wóz ruszył, wetknął głowę przez opuszczoną szybę:

– Podczas najbliższego urlopu na Ziemi zapraszam was do siebie. Mam nadzieję, że wtedy nie będę wam musiał wyjaśniać, dlaczego za nic w świecie nie zamienię swej farmy u podnóża Gór Skalistych na najbardziej komfortowe mieszkanie w mieście. No, ale ty... – popatrzył na dowódcę statku – ty już chyba nie zdążysz mnie odwiedzić, a szkoda. Życzę ci powodzenia.

Pomachał im ręką na pożegnanie.

Główny energetyk wysiadł na stacji szybkiej kolei miejskiej, mieszkał w centrum tej gigantycznej metropolii.

– Tak trochę to ci zazdroszczę – powiedział ściskając dłoń dowódcy. – Mam nadzieję, że pozostawisz dla nas jakąś wiadomość.

– Heliport – zwrócił się do kierowcy, kiedy został sam.

Wysiadł tuż przy wielopasmowych ruchomych schodach prowadzących do różnych sektorów. Rzut oka na świetlną tablicę informacyjną: jeżeli w ciągu dwóch minut zdąży na platformę „C”, złapie helikopter w swoim kierunku. Następny dopiero za pół godziny. Chcąc przyspieszyć przesuwanie się taśmy, ruszył naprzód, skacząc po dwa stopnie na raz. Już u wejścia na płytę lądowiska helikopterów napotkał karcący wzrok stewardesy, który jednak złagodniał natychmiast, gdy zobaczyła jego mundur. Uśmiechnął się do niej i wskoczył do maszyny w momencie, gdy zapowiedziano jej start. Znalazł nawet fotel przy oknie.

Helikopter wzniósł się łagodnie i leciał na niewielkiej wysokości nad dwunastopasmową autostradą w kierunku metropolii. Lądowali dwukrotnie: na lotnisku komunikacji strefowej i w obrębie wielkiego zespołu handlowego na przedmieściu. Wnętrze wypełniło się. Przed nim siadła matka z pięcio- może sześciolatnim chopczykiem, który zaraz stanął na fotelu i przewieszony przez oparcie uważnie



lustrował jego mundur. Matka zmusiła go wreszcie do zajęcia właściwej pozycji, uśmiechając się przepraszająco, ale aż do momentu, kiedy musiał wysiąść, obracał się do tyłu wtykając głowę między oparcia.

Łądowali na Centralnym Dworcu Kolejowym między kilkudziesięciopiętrowymi wieżowcami na płycie, pod którą biegły na kilku poziomach dziesiątki peronów. Zjechał w głąb tego komunikacyjnego kolosa, którego wnętrze wypełniał kilkudziesięciotysięczny tłum wędrujący bez przerwy setkami ruchomych chodników i schodów, kilometrami korytarzy i estakad, odwiedzający niezliczone bary i restauracje, a także sklepy oferujące wszystko, co przydać się może w dłuższej podróży.

Nie zatrzymało go tu jednak nic. Najkrótszą drogą dotarł na peron 18 na poziomie IV, przy którym czekał kilkuwagony skład ekspresu. Już po kilkunastu minutach obserwował migające za panoramiczną szybą miejskie krajobrazy. Zamówił świeże jabłka – wspominając sad przy domu tęsknił za smakiem świeżych owoców na pokładzie kosmicznego transportowca. Gryząc jabłko założył słuchawki i operując przyciskami na poręczy fotela wybrał program. Zdecydował się na muzyczną podróż przez wieki.

Widok za oknem zmieniał się w kierunku przeciwnym niż muzyka, której słuchał. Po śpiewanej liryce trubadurów prowansalskich rozbrzmiewała właśnie dworska muzyka epoki renesansu, podczas gdy pociąg pędził przez dzielnice o coraz starszej, coraz mniej nowoczesnej zabudowie. Po godzinie wysiadł na stacji, która w porównaniu z Dworcem Centralnym sprawiała wrażenie pustkowia, i przesiadł się do oczekującego przy sąsiednim peronie elektrycznego pociągu podmiejskiego. Nie było tu już ani stewardes pytających, co podać, ani programów stereofonicznych. Pociąg zapełnił się.

Kiedy zauważył spojrzenia, jakimi obrzucałi go współpasażerowie, zaczął żałować, że nie zmienił munduru na ubranie cywilne. W takiej okolicy pilotów statków kosmicznych widywało się wyłącznie na ekranach telewizorów. Ruszyli. Krajobraz pozieleniał. Zmieniła się zabudowa. Od czasu do czasu pojawiały się

połacie wolnej przestrzeni. Pociąg zatrzymywał się często na małych stacyjkach. Pasażerowie zmieniali się. Zamyślił się, a po jakimś czasie sięgnął do kieszeni po kopertę.

„Centralny Instytut Planów Astronautycznych. Wydział D” – głosił czarny nadruk na czerwonym tle. Jej zawartość znał już na pamięć, nieraz sięgał po nią, jakby jej widok miał mu pomóc w podjęciu decyzji. Była w niej w miarę obszerna informacja o planowanym pierwszym locie do Alfya Centaura. Komputer działu kadr podczas poszukiwania kandydatów podał i jego nazwisko typując go do wstępnych rozmów na podstawie analizy sytuacji osobistej, wykształcenia i dotychczasowej pracy. Na Marsie, na którym mieściło się centrum tego programu i z orbity którego miał odbyć się start, rozmawiał na ten temat długo z Jackiem, przyjacielem od szkoły elementarnej po Akademię Kosmonautyczną, który po wypadku uniemożliwiającym mu pilotowanie statków poświęcił się bez reszty pracy nad perspektywicznymi programami astronautycznymi. Wiedział więc o planowanej wyprawie może najwięcej z wszystkich, którym zaproponowano w niej udział. Ale najdokładniejsze wiadomości nie ułatwiały podjęcia decyzji. To była zupełnie inna sprawa. Odpowiedź musiał dać jutro, najpóźniej pojutrze. Instytucja, w której pracował, była poinformowana o jego kandydaturze i wiedział, że wstępnie wyznaczono już jego zastępcę na stanowisku dowódcy FSS Michelson.

Gwiazdolot jest już gotowy. Odbyły się nawet pierwsze loty próbne. Jeszcze rok, dwa lata przygotowań i... Zerwanie z rutyną dotychczasowego zajęcia? Sława uczestnika pierwszego lotu do gwiazd? Pokusa odkrywania nieznanego? Poczucie torowania drogi następnym pokoleniom?

W porę ocknął się z rozmyślań. Znajomy widok za oknem. Zdążył chwycić bagaż i wyskoczyć na peron. Przeszedł przez pusty hol budynku stacyjnego i wyszedł na skwer porośnięty wyrudziałą od słonecznego żaru trawą. Zgrzytając przeraźliwie, na pętłę końcowego przystanku wjechał tramwaj. Zniknęła gdzieś bez reszty wielkość i nowoczesność metropolii, zapachniało odległą XX-wieczną prowincją.





cją. Był jedynym jego pasażerem i by nie prowokować ciekawości motorniczego, wsiadł do przyczepy. Tramwajem targano na zakrętach, przyczepa ustawicznie się kołysała. Znowu zatopił się w myślach. Nie zwracał najmniejszej uwagi na pasażerów i nie spostrzegł też, że po pewnym czasie znowu pozostał sam w wagonie. Zauważył dopiero ze zdziwieniem, że wóz silnikowy odjechał, pozostawiając przyczepę. Nie ujechał jednak dalej niż kilkadziesiąt metrów, a motorniczy wysiadł z hakiem do przekładania szyn. Motorniczy zauważył go, uśmiechnął się na widok munduru:

– A, to pan stamtąd. Tramwaj dalej nie jedzie. Prace budowlane. – I machnął ręką w kierunku zrytego aż do złocistego piachu terenu.

Wysiadł. Już po kilku krokach do butów nasypało mu się piasku. Wyszukiwał twardszy teren, przechodził przez prowizoryczne kładki nad głębokimi wykopami, omijał porzucone

maszyny, stopy rur i materiałów budowlanych. Kilka razy zatrzymały go stalowe konstrukcje zaczynające wydobywać się z wykopów. Wreszcie wyszedł na nie używaną od dłuższego czasu drogę. Asfalt był spękany, w rozpadlinach bujnie krzewiła się trawa. Rozpoznał znajomą uliczkę. Przystanął i, trzymając się jedną ręką słupa latarni, wysypał piasek z butów. Później ruszył poboczem wykopu. Wydobyty z niego piasek sypał się przez sztachety i siatki płotów do ogródków małych, parterowych, rzadziej piętrowych domków. Gdzieś w piasku bawiły się dzieci. Na ławkach przed domami siedzieli starzy ludzie. Gdy przechodził, czuł ich wzrok na sobie.

Wreszcie stanął przed domem. Uchylił furtkę. Skrzypnęły zawiasy. Przeszedł kilkanaście kroków po tkwiących w darni cementowych płytach i zapukał do drzwi, które otworzyły się prawie natychmiast. Na progu stanęła matka.

Przyzwyczajona do jego przelotnych wizyt,



jeszcze w ramionach syna pytała razem o zdrowie i o termin odlotu. Pokiwała z żalem głową, gdy powiedział jej, że przeładunek na orbicie okołozemskiej potrwa tylko dwa dni, westchnęła, że już chyba nigdy nie zobaczy go na dłużej, a później zakrzętała się w kuchni. Usiadł przy stole rozpoznając z radością znajome sprzęty i staroświeckie naczynia. Pytania mi zmusiła go do opowiedzenia ostatniego lotu w szczegółach, chociaż nie był zupełnie pewny, czy słuchała go pochłonięta gospodarczymi czynnościami.

– Pewnie chciałbyś się umyć po podróży, a tu już czwarty miesiąc mija, jak odcięli nas od wodociągu i obiecują, że doprowadzą wodę prowizorycznie. Byłam, pytałam, mówią, że nie warto, bo i tak już wkrótce wybudują tu nowe osiedle. A mnie starej nawet dla samej siebie coraz trudniej chodzić po wodę.

Wziął wiadro i poszedł do studni w ogrodzie za domem. Korba wygięta od wieloletniego używania – pamiętał, że gdy był dzieckiem, służyła mu, podczas nieobecności dorosłych, za huśtawkę – skrzypiała przeraźliwie. Kiedy rozpiął bluzę munduru, która krępowała mu – raczej niezwykle dla dowódcy kosmicznego transportowca – ruchy, z kieszeni wypadła koperta. Podniósł ją zakłopotany. Chwila, w której będzie musiał podjąć nieodwołalną decyzję stała się wyraziście bliska. Zdjął wiadro z cembrowiny i ruszył powoli w kierunku domu. Tu rosły najlepsze maliny, a na tym drzewie najwcześniej dojrzewały wspaniałe, soczyste i słodkie gruszki. A tu pod ścianą ławka, na której siadywał z matką jako mały chłopiec i słuchał opowieści o ojcu, który zginął podczas pierwszej próby lądowania na Merkurym. Nie pamiętał ojca zupełnie. Kosmos zabrał go wcześniej, bardzo wcześniej jemu i matce...

Zgniółł powoli kopertę w dłoni. Kiedy przechodził koło śmietnika, wrzucił doń czerwoną kulę papieru, przysypał ją odpadkami i zatrzasnął pokrywę. Dziwnie lekki i wesoły przekroczył próg domu.

Matka wystawiła na środek kuchni krzesło, postawiła na nim blaszaną miednicę. Podczas gdy mył się, opowiadała o tym, co wydarzyło się podczas jego nieobecności.

– Czy pamiętasz Cristine, córkę sąsiadów? Pomagałaś jej z przedmiotów ścisłych, gdy przyjechałaś na wakacje z Akademii Kosmonautycznej, a ona przygotowywała się do studiów. Skończyła naukę, zajął się do mnie, pytała nawet o ciebie... Mógłbyś ją kiedyś odwiedzić.

Prychał polewając się lodowatą wodą. Nabrał jej w usta. Miała niepowtarzalny smak. Z potem i kurzem zmywał tamte myśli o dalekich szlakach.

– Za dwa miesiące przylecę na dłużej. Wezmę wtedy urlop, ponaprawiam wszystko, co trzeba, dowiem się, co będzie z naszym domem, a przede wszystkim nagadamy się do syta. Nie wyjadę nigdzie. Pozostanę tu przez cały urlop. A jutro postaram się prowizorycznie doprowadzić wodę, żebyś nie musiała się tak męczyć.

Zapytał jeszcze, czy mógłby w czymś pomóc, ale matka odprawiła go, mówiąc, żeby odpoczął trochę przed kolacją. Chętnie przystał na to. Teraz, kiedy minęło napięcie, poczuł zwielokrotniony trud ostatnich dwóch dni, kiedy musieli manewrować dla uniknięcia spotkania z niespodziewanym strumieniem meteorów, a później nadganiać, by zmieścić się w rozkładzie lotów...

W swoim pokoju wygodnie wyciągnął się na łóżku. Mimo że bywał tu tak rzadko, nie zmieniło się w nim nic od czasów tak odległych, jak tylko mógł sięgnąć pamięcią. Zawsze też był przygotowany na jego przyjęcie. Sennymi oczami rozpoznawał jeszcze szczegóły: detale sprzętów, grzbiety książek na półce, deseń tapety...

Zamknął oczy. Świat ograniczył się momentalnie do zapachów. Najpierw zapach pościeli, później woń kwiatów, którą przez uchylone okno nawiewał wiatr, wreszcie doleciał z kuchni zapach świeżego placka i kawy, a w końcu wszystkie zapachy zmieszały się w jeden, niezastąpiony zapach domu.

Kiedy matka otworzyła drzwi, żeby zawołać go na kolację, spał już oparłszy policzek na pięści, zupełnie jak wtedy, gdy był jeszcze małym chłopcem i marzył o lotach do dalekich gwiazd.